

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 8 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**

Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. | Kraków, 18 marca 1916. | Nr. 12.

Przed bitwą.



Legioniści na Mszy polowej w lesie.

Przed odbudową Galicyi.

Galicya, która w znacznej swej części wytrzymała na sobie napór nawały rosyjskiej i stała się tym murem, który ochronił monarchię od inwazyi rosyjskiej, poniosła też największe i najdotkliwsze formowanie i przekonanie kół wiedeńskich o konieczności jak najrychlejszego przystąpienia do odbudowy zniszczonego kraju. W tem usiłowaniu wyda pomyślne niewątpliwie owoce odbyta niedawno podróż inspekcyjna przez namiestnika jen. Collarda oraz ministrów ks. Hohenlohego i Morawskiego, jen. Collard, jak i minister spraw wewnętrznych, ks. Hohenlohe, przekonawszy się naocznie o strasznem zniszczeniu, jakiemu w czasie walk i podczas inwazyi rosyjskiej uległa Galicya, uczynią wszystko, aby przyjść z pomocą tak srodze dotkniętej ludności kraju.





Przed odbudową Galicyi:

Z podróży inspekcyjnej ministrów i namiestnika po Galicyi z członkami Komisyi nad Prutem. (X) J. E. jen. Colard

Ministrowie i namiestnik przed starostwem w Dąbrowie. 1) Namiestnik jen. Colard, 2) ks. Hohenlohe, 3) min. Morawski, 4) wicepr. m. Krakowa prof. Nowak, 5) nadinż. Jackowski.

straty. Dziś jeszcze niepodobna ściśle obliczyć tych szkód, jakie poniósł kraj w zburzonych domach miejskich i zagrodach wiejskich, w zniszczonej roli, w całym dobytku ludzkim, który padł ofiarą szalejącej pożogi wojennej. Nie ulega wątpliwości, że straty są olbrzymie i że konieczną jest jak najspieszniejsza pomoc państwowa, aby przyjść z ratunkiem pozbawionej dachu, wydanej na łup głodu i nękanej chorobami ludności. Czynniki kompetentne czynią też wszelkie możliwe zabiegi, aby tej akcyi ratunkowej nadać właściwe, stosowne do ogromu klęski, rozmiary i, o ile możności, tę akcyę przyspieszyć. Pierwszem zadaniem było naturalnie należyte poin- o czem pisaliśmy już w jednym z poprzednich numerów. W czasie tej podróży ministrowie w towarzystwie namiestnika zwiedzili szereg większych miast galicyjskich, natomiast namiestnik, jen. Collard, w czasie trwającej około dwa tygodnie podróży zwiedził dokładnie niemal wszystkie miasteczka galicyjskie, które tyle wskutek wojny ucierpiały. Podróż odbywała się cały czas samochodami. Namiestnikowi towarzyszyli: szef biura prezydyalnego namiestnictwa radca dworu Schultis, podpułkownik sztabu generalnego Schattel, adjutant rotm. Barański i nadinżynier nam. Jackowski.

Należy mieć nadzieję, że zarówno namiestnik,

Z tej tak ważnej niewątpliwie dla naszego kraju podróży inspekcyjnej ministrów i namiestnika zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg fotografii, nadesłanych nam przez naszego korespondenta bialskiego.

Przed bitwą.

(Do illustracyi tytułowej).

„Kiedy trwoga, to do Boga"... powiada stare przysłowie i ma racyę, jak to widzimy na przykładach z czasów obecnej wojny. Nie mówiąc już o na-



Szlakiem bojowym Legionów: W okopach. (Fot C. B. W. — N. K. N.)



Przed odbudową Galicyi: Przyjazd namiestnika Colarda do pałacu w Podhorcach.



Nowa kwatera komendy III. brygady Legionów: Oddział telefonistów przed „Willą Hallo".

szem społeczeństwie, które zawsze było religijnem i w dobrej i złej doli z jednakową ufnością odnosiło się do Opatrzności, warto przecież zaznaczyć, że nawet Francuzi, uważani zawsze za skrajnych liberałów, dziś zmienili swe przekonania. I tam przypomniano sobie o Panu Bogu. Zołnierz francuski, tak samo jak i nasz, pragnie także pociech religijnych i znajduje je, zwłaszcza, że rząd republiki w chwili mobilizacyi powołał do służby frontowej, to jest pod karabin, wszystkich duchownych należących do związku armii. Każdy z nich dzieli swój czas: część jego poświęca na służbę wojskową, część zaś na niesienie pociech religijnych towarzyszcm broni.

U nas jest inaczej. Każdy oddział posiada swego kapelana, któremu powierzoną jest opieka religijna nad pewną grupą, nad chorymi i rannymi. Na pobojowisku czy w rowie strzeleckim spotkasz wszędzie kapelana, który, nie zważając na kule nieprzyjacielskie, spieszy, dokąd woła go obowiązek. Jak zaś wywiązują się nasi księża ze swego szczytnego, ale trudnego zadania, tego dowodem listy żołnierzy, którzy wprost nie znajdują słów uznania i wdzięczności dla swych prawdziwych ojców i opiekunów, do których każdej chwili odnieść się mogą z ufnością.

Illustracya tytułowa, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia mszę polową przed bitwą, gdzieś tam wśród lasów i błot na Wschodzie.



„Krakowskie dzieci" w okopach Major Rück (stoi) na wizytacyi 13 kompanii 13 p. p



Szlakiem bojowym Legionów: Na czatach.



Namiestnik jen. Colard na froncie galicyjskim.



Przed odbudową Galicyi: Namiestnik Colard z członkami Komisyi u wejścia do zamku w Podhorcach.

Groby żołnierskie.

Słusznie powiedziano, że cała Polska stała się jakby jednem cmentarzyskiem. Huragan wojny przewalił się przez ziemie polskie, a choć dziś, na terenie dawnych walk, zaległa cisza — pozostały smutne ślady tej krwawej przeszłości, znaczone nie tylko zgliszczami, ale lasem wyrosłych krzyżów i mogił...

Takie cmentarzysko wojenne w Lubelskiem opisuje p. Siedlecki.

„Na tle pustki — pisze — na tle pól, odłogiem leżących, wśród postrzelanych lasów powstały dziwne kolonie: groby żołnierskie. Widzi się je wszędzie; najczęściej blizko drogi, ale czasem wśród pola uprawnego, w ogrodzie, lub parku dworskim; często tuż przy domu, tuż przy drodze, lub poprzek ścieżki, tak, jakby ten grób był intruzem; a czasem w gęstym ostępie, skryty przed okiem ciekawem, nieledwie niedostępny. Żołnierz padł tam, gdzie musiał walczyć; pogrzebano go tam, gdzie się dało. Jednych chowano troskliwie, po zwycięskiej bitwie, w grobach dużych, głębokich i wysoko wyrastających w mogiłę; innych oddano ziemi prędko, spiesząc się, często pod ogniem bitwy. I stąd jedne groby to starannie ułożone kopce, z krzyżem porządnym i dużym, z napisem widocznym, lub nawet z tabliczką; inne zaledwie że przykrywają zwłoki, a krzyż mają zbity z nierównych szczepek drzewa.

Na krzyżach czapki żołnierskie; pod Jastkowem na ogromnych mogiłach wiszą na ramionach krzyżów podziurawione kulami czapki Legionistów, a pod niemi napis:

„Śpij, kolego, w cichym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie".

Gdzieniegdzie szaroziemista czapka rosyjska na krzyżu z ukośnem ramieniem; ówdzie „pikelhauba", lub czerwona czapeczka huzarska.

Wiatr temi czapkami porusza i cicho szepcze na nich pieśń tęsknoty za własną ziemią. Krzyże ramiona wyciągają, prosząc o modlitwę, o pamięć".



„Krakowskie dzieci" w okopach:



Groby żołnierskie: Nad trumną towarzysza w polu.

Nowa kwatera komendy III brygady Legionów.

W końcu lutego b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie nowej kwatery komendy III brygady Legionów Polskich. Jest to grupa budynków, stojących w lesie w pobliżu stałych pozycyi Legionów, wykonana sposobem wojennym z krąglaków sosnowych, utykanych mchem i przykrytych ziemią. Mieszczą się tu kancelarye administracyjne i operacyjne komendy, kasyno oficerskie, magazyny, kwatery, kuchnie i stajnie. Całość okolona brzozowym parkanem, na wjazdowej bramie widnieje duży, legionowy orzeł, wykonany cały misternie z kory brzozowej. Z pomiędzy zabudowań najsympatyczniej się przedstawia „Willa Hallo", stacya telefoniczna i kwatera telefonistów komendy III brygady. Fotografia, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia właśnie tę willę, przed którą stoją (od lewej ku prawej): Rossipal Józef, Zimmerhacki Stefan (komendant 2-ej patroli telef.), Zobolewicz Tadeusz (komendant 1-ej patroli telef.), Schottek Julian, Górecki Tadeusz, Szymański Stefan, Jarosz Józef (komendant trenu), Flachs Karol, Wyczałkowski Stefan, Kornasiewicz Stanisław (komendant aparacistów), Podgórski Szymon, Maciejewski Roman i Manterys Jan. Siedzą: Blicharski Tadeusz (na tle altanki), Seferowicz Jan (mechanik i magazynier), Kusionowicz Stanisław (komendant oddziału) i Szczęśniak Stanisław (komendant obu patroli telef.). Leżą: Kuziow Józef i Wałęga Stanisław.



Wojna w Polsce: Zgliszcza w Wołczynie (Grodzieńskie). (Fot. C. B. W. N. K. N.)

JÓZEF LASOŃ.

KADRY POLSKIE.

(Z cyklu: LEGIONY.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

— Panie Srul — zwraca się jeden z Legionistów do żyda — tę szafę zostaw pan nam.

— Ny, na co panom to? Panowie robicie sobie śmich.

— Nie mamy łóżek, panie Srul. W tej szafie może spać sześciu, to szafa duża.

— Jo wim, panowie śmich robicie! — śmieje się Srul, a w duszy przeraża go myśl, że szafa miałaby pozostać tutaj i służyć za łóżko i do tego sześciu ludziom.

Widząc jednakże, że to tylko żarty i że szafa pomału z wybuchami śmiechu wędruje ku drzwiom, pociąga palcami po siwej brodzie i mlaszcze bezkrwistemi wargami:

— Jo panom Legionistom po szabesie śliwowic przyniose. Ale fein śliwowic.

Ostatni już grat żydowski opuścił kwaterę, powoli oczy nasze poczęły przebijać ciemności i kłęby dymu. Więc zwolna zbliżamy się ku nowym towarzyszom, odnawiamy dawne znajomości wspólnej doli karpackiej, poczem następują krótkie i bezładne pytania i odpowiedzi.

— A znaliście tego a tego?

— A wiecie, ten zabity!

— A co się z tym stało?

Starzy to przeważnie żołnierze, którzy rozstali się gdzieś wśród morderczych walk, zapomnieli wzajem imion i nazwisk kolegów, a teraz zeszli się znów w kadrze ze szpitali, z urlopów i Bóg zresztą wie skąd i znów na świeżą gotują się wyprawę. Snują się opowieści, przejścia, żale i skargi, błogosławieństwa i chwalby, przypomnienia ciężkich chwil. Niejednemu z nich pierś zdobi medal, niejeden na ciele pokazuje najwspanialszy krzyż zasługi — ranę, opowiada o dziwnym trafie i biegu kul.

Ogień trzaska na kominku, gwiazdeczki złote — iskry padają koło kominka — nie dają jednakże ciepła tej kwaterze, gdzie blizko trzydziestu ludzi ma się udać na spoczynek.

Przy słabem świetle kopcącej naftowej lampy pisze się kartki i listy do ukochanych. Ręka drży od przemęczenia i wilgoci, oczy kleją się sennie, jednakże jedyna to chwila, gdy można napisać.

I wglądnijcie w te pokrzywione litery, potłuszczone kartki, a każda z nich powie wam, ile trudu, ile wysiłków i hartu ciała trzeba zebrać, aby skreślić choć kilka słów bezładnych do ukochanych.

Powie wam kartka taka i o warunkach i o przezwyciężeniu przemęczenia i nie dziwcie się, że czasem ktoś długo do was nie pisze, bo pisać jest niezdolny.

Kilku z nich zawzięcie gra w karty, przybijając silnie rzuconą o stół kartą, śledząc bieg gry z takiem zajęciem, jakby się o rzecz pierwszorzędnej wagi rozchodziło.

Godzina dziewiąta.

Inspekcyjni wzywają do udania się na spoczynek, do zagaszenia światła.

Kilka garści słomy, akurat tyle, by parze gołębi wystarczyło, rozciąga się na gliniastej podłodze kwatery. Służy ona raczej do ograniczenia miejsca dla każdego osobnika, niżli dla wygody i wypoczynku ciała. Parę źdźbełek pod ciało, reszta pod głowę i wraz z plecakiem usłużą, jako pierzaste poduchy, w których się za dobrych czasów po uszy tonęło. Koc, który się cośkolwiek przy kominku zdołał osuszyć, jakby lniane prześcieradło przykrywa słomę i plecak, owija się niem człek, jakby worem i przykrywa płaszczem, który, jak deska, stwardniał po deszczu, ot i jedno z wykwintnych łóżek żołnierskich, luksusowych, rzekłbym, w przeciwstawieniu do rozmiękłej ziemi w okopie, lub rowie strzeleckim.

Ale niczem są wszystkie braki i trudy, niczem jakakolwiek dola i niedola żołnierska Legionisty, gdyż osłodą i rozrywką i wiernym a nieodstępnym towarzyszem Legionisty jest jego bajeczny wprost humor i wesołość, która każdą zgryzotę potrafi osłodzić i tęsknotę odpędzić!

— Człekby zwaryował, gdyby nie ten humor i ta wiara — powiadają stare i młode wiarusy.

Przez wybite okna, zatkane na prędce papierem, prąd zimnego powietrza wpada do izby, migocze światłem lampki. Nie wszyscy jednakże udali się na spoczynek.

Przychodzą czasem bezsenne noce, w których mimo ogromnego zmęczenia i bezwiednego drzemania sklejonych kurzem i dymem oczu, spać nie można. Zawsze się takich kilku znajdzie, ażeby zaś skrócić nudy czekania, spowiedź duszy jeden drugiemu czyni.

Wtulam głowę w koc, próbuję usnać.

Nędza żywota i trudu wytrzeszcza szyderczo oczy ku mnie, przesuwa się kolejno obraz przyszłych dni, ciernista droga doli żołnierskiej, zda się, że zwątpienie pajęczą siatką oplątało ducha i smutek, pragnienie jakiegokolwiek zakończenia pasma tej drogi, jak oaza zdala nęcić poczyna i rodzą się w duszy myśli ze słabego i zwątpiałego serca wypływające — aż tu nagle salwa ognista szczerego śmiechu od kompanów dochodzi. Podnoszę zaciekawiony głowę i słucham tej pustej czasem wesołości i wówczas siatka pajęcza, misternie mnie oplątująca, rozrywa się i serce się ku dobrym zwraca drogom, gdyż ten śmiech, ta wesołość uczy, że kto raz do sprawy świętej dłoń przyłożył, cofnąć się pod żadnym pozorem nie może i nie powinien, jeno musi każdą godzinę życia tak wykorzystać, aby ze szczerem sercem i radością każdą dolę zniósł i sprawie się przysłużył.

Tuż obok mnie dwóch nowych kolegów leżąc, starą odnawia znajomość, opowieść życia i szelmostwa swoje na jaw wydobywa.

— Aha! tyś był w piątej kompanii — mówi pierwszy.

— A tak! Ale byłem zaraz w trzeciej bitwie ranny pod i stamtąd do szpitala na Węgry odesłany.

— Wisz, jo ci miołem szopę! Zginąłem od oddziału na dwa dni błąkałem się, szukając kompanii, wkońcu dotarłem do Pytają mnie o marszrutę, wyciągnąłem przybili pieczątkę, siadom i jadę.

— To ci się udało?

— Ty wiesz, że potem byłem w niewoli.

— Tak, a długo?

— Cztery dni tylko.

— No, a jak tam?

— Nieźle. Zryć dali dosyć, wódki także, tylko cholery kozoki chcieli mnie powiesić!

— Godoj, godoj, bom ciekawy.

— Jak już widziałem, żem otoczony, a byłem posłany z patrolą i ludzie moi zostali zabici, wtedy rzuciłem czapkę swoją, a zdjąłem z zabitego żołnierza austryackiego. Dostało się nas trzech do niewoli. Ja i dwóch żołnierzy austryackich. Jednego z nich, Niemca, zaraz zabili kozaki, bo się opierał i nie chciał iść z nimi, tak go bagnetem przebili przez pierś i zostawili. Widząc to, nie opierałem się, tylko poszedłem. Sprali mnie nahajkami, a potem rewizyę przeprowadzili koło nas. Przy mnie znaleźli kilka kartek polowych z pieczątkami naszego batalionu i chcieli mnie odrazu powiesić, jak również i tego drugiego żołnierza austryackiego, gdyż nie chciało im się nas odprowadzać. Aleśmy się uprosili. Ja zdołałem ukryć browning w rękawie, który znalazłem na pobojowisku i pomimo dwukrotnej rewizyi nie znaleźli go przy mnie. Myślałem sobie, że gdyby tak naprawdę chcieli mnie powiesić — a jest ich czterech — zarezykować można. Moja śmierć — to i ich śmierć. Ale przyprowadzono mnie wkońcu przed jakiegoś wyższego oficera, zdaje się pułkownika, bo miał na ramieniu złote epolety i gałązki i ten mnie poczyna pytać:

— Dużo jest tam u was ludzi w rezerwie?

— Tyle, co liści na gałęziach w tym lesie! — począłem kłamać, aby ich nastraszyć.

— A w linii?

— Będzie z dziesięć tysięcy!

— Prawdę mówisz?

— Świętą prawdę!

W drodze rozpoczęła się pijatyka, co chwilę kto inny podawał mi flaszkę z wódką, a ja, przytykając flaszkę do ust, udawałem że piję i po krótkiej chwili począłem się chwiać na furze wraz z nimi udając pijanego. Wkrótce wjechaliśmy w las. Teraz, myślę sobie, odpowiednia chwila. Niespodziewanie zeskoczyłem z wozu, przypadłem do krzaków, ukrywając się. Browning szybko wyciągnąłem z rękawa, odciągnąłem bezpiecznik i gotów byłem na wszystko. Ale gdzietam. Nie wiem, czy wogóle wiedzieli, wielu mają jeńców i kto i jak im w drodze zginął.

— Bałeś się tego sądu polowego?

— E, głupstwo! Cóż mi mogli zrobić? Wszak idąc na wojnę, każdy jest przygotowany, że zginie. I niby, czy tak, czy owak na jedno wychodzi. Chyba nie ma człowieka, któryby nie wiedział, że na wojnie każdej chwili można zginąć. A po wtóre cóż mi mogli zrobić? Na Sybir i tak wszystkich wysyłają. Mam tam z głodu umrzeć i zimna i męczyć się, wolę odrazu, a zresztą to tylko kozak, co wiesza i to tylko wtedy, gdy nie ma nad nim nadzoru. Czy to austryacki żołnierz, czy węgierski, czy Legionista — kozakom to wszystko jedno — oni z jeńcami nie lubią się bawić.

— Słyszałem o tem już nie raz.

— Sytuacya moja nie była wtedy wcale wesoła. Przegradzała mnie linia bojowa i każdej chwili mogłem wpaść powtórnie w ręce Moskali. Po kilkugodzinnym tułaniu się dotarłem do samotnej chaty, z której dochodziło światło. Podsunąłem się pod okna i dojrzałem ruskiego chłopa, grzejącego się przy kominku, gotującego zapewne jakąś strawę. Na ścianie wisiał karabin rosyjski. Przemknęło mi przez myśl, że widocznie to jeden z „tajnych" wywiadowców nieprzyjacielskich. Otworzyłem raptownie drzwi i zawołałem na chłopa, aby trzymał ręce do góry.

Wystraszonym wzrokiem spojrzał na mnie, łyżka wypadła mu z rąk.

— Zdejmuj ubranie! — zawołałem.

Mruknął coś pod nosem, oczy mu się dziko, jak u tygrysa, zaiskrzyły i nieznacznie posuwać się począł ku ścianie, gdzie wisiał karabin. Spostrzegłem ten jego manewr i na czas zagrodziłem mu drogę. Zgrzytnął zębami z wściekłości i zamierzał rzucić się na mnie. Wystrzeliłem wtedy z brauninga, padł trafiony kulą w głowę. Zagasiłem czemprędzej światło, zdjąłem z niego ubranie góralskie, gorączkowo przeszukując kieszenie. Oprócz rubli znalazłem przepustkę rosyjską, dzięki której udało mi się przejść przez linię nieprzyjacielską i dojść do swoich. Nie poznali mię początkowo i chcieli zaaresztować, dopiero kilku znajomych, upewniwszy się o tożsamości mojej, wybawiło mnie z dalszych opałów.

— Toś się spisał!

— I, głupstwo wszystko, ale martwi mię, że mnie superarbitrowali i muszę iść do cywila.

— Tak, a dlaczego?

— Mam przestrzeloną nogę i nie mogę maszerować.

— Więc co zrobisz?

— Nie! Nie pójdę teraz po tylu miesiącach do cywila za nic. Przeobijam się przez zimę, a z wiosną to ja tam znajdę swoją kompanię, choćby mnie nie raz, ale dziesięć razy przy superrewizyi do cywila przeznaczali.

— Ty, a nie żal ci tego Rusina?

— Trudno! Jeden z nas musiał ustąpić. A zresztą niejednego naszego wysłał on na Abrahama łono i nie szkodzi, że sam raz powędruje.

— Ale servus! Spać mi się chce. Cześć!

— Cześć!...

Po chwili zapadli już w głęboki sen, przytuliwszy się do siebie, jak dwaj rodzeni bracia. Pokładali się do snu i ci, których kołysał do snu serdeczny śmiech kolegów.

Jakby na Madejowem łożu, bezwiednie, podczas snu rzuci się jeden i drugi, przełoży z boku na bok.

Wicher huczy po gruzach domostw opodal stojących, dokończa dzieła zniszczenia pocisków armatnich, nadszarpane pokrycia dachów z hukiem strąca na bagniste ulice.

I krzywią się usta śpiących radośnie, to znów rozpacznie, zależnie kto o czem śni. Może nocną porą duch ich do ukochanych zabłądził, ciepła rodzinnego, otuchy nabrać poszedł, może tęsknotę wysłowić, a może błąka się po pobojowiskach i szlakach, którędy z bagnetem w dłoni szli i iść niedługo mają.

Może... Nie wiem... gdyż jedne usta rozpacznie się krzywią, a drugie znów weselnie.

Zależy... kto o czem śni...

— — — — — — — — — — — —

Piłsudczyków kadra...

Drewniany, prosty barak pod miastem postawiony, ongiś rosyjskim wojskom za koszary służył. Dwudziesty piąty pułk smoleński dawniej tu stał, sławny pułk.

Pozostała po nim tylko szopa drewniana, białem wapnem w środku wybielana, nie wiadomo po co

czy aby odświeżyć lub upiększyć koszary, czy też ochronić od zimna i wiatru.

Powoli stała się kwatera ta rycerską, rzekłbym, salą w cenne malowidła zdobną. Co serce żołnierskie czuło, co go bolało, ręka opałkiem drewnianego węgla porysowała na wybielanych ścianach baraku. Jak gdyby wystawa malarska...

Więc duży orzeł polski, wieńcem zielonych gałązek sośniny otoczony, tuż obok Piłsudzczyk przy stole wigilijnym, dalej tryptyk lat wojny. I tak w roku 1914 żołnierz z karabinem, obok oficer częstujący go kiełbasą. Rok 1915 przedstawia oficera i żołnierza, stojącego o trzy kroki od niego, pod spodem napis, odnoszący się do żołnierza: „Sześć godzin szpangi“, wkońcu inwalid z katarynką, któremu oficer daje rozkaz grania. Pełno sylwetek mniej lub więcej udanych brygadyera Piłsudskiego, karykatur i satyr wszelkiego rodzaju. Są i sceny humorystyczne i pełne głębokich myśli napisy i aforyzmy. Znać, że nie tylko pustota i figlarność siedzi w Piłsudczyku, lecz że myśl jego szuka ciągłych dróg zrealizowania ideału przelewanej krwi.

Nie świetna to zresztą kwatera, lecz i nie taka zła. Kapryszą wprawdzie niektórzy z „Hinterlandu“ przybyli, stary liniowy żołnierz wie jednakże, jak ma cenić choćby najskromniejszy kącik pod dachem.

Tryb pędzonego życia jednostajny, koszarowy, nudny. Jedyną przeto rozrywką, to rozmowa w czasie wolnym od służby, gra rozmaita, no i niedawno otworzona herbaciarnia Legionów.

— — — — — — — — — — — —

brygada po spaleniu się baraków powędrowała o kilkanaście kilometrów do poblizkiej wioski,

„Biskupi“, taką bowiem nazwę dali Piłsudczycy brygadzie z powodu wysokich rogatych czapek, przepędziwszy czas jakiś w podobnym baraku, przenieśli się na wywczasy wiejskie.

Obsiedli chaty chłopskie, jak szczury powkręcali się do domostw, zadowoleni z ciepłych kominków i suchych kwater.

Roi się w miasteczku od czerwono-białych chorągiewek, umieszczonych na bramach domów i świadczących o jakiejś komendzie batalionu lub kompanii. Roi się również od szarych mundurów.

Kroniką żywą jest podawana z ust do ust wiadomość, kiedy, która „marszkompania“ w pole odchodzi, lub kto do niej przeznaczony.

Dziennik tu rzadko zabłądzi, prócz herbaciarni i kilku restauracyi. Szalona drożyzna z powodu braku kolei żelaznej. Wprawdzie w czasie tej wojny car rosyjski, będąc w przejeździe przez tę okolicę, polecił zbudowanie toru kolejowego, jednakże losy wojny przerwały pracę w tym zakresie.

Kadra artyleryi obrała legowisko przy cerkwi, zajmując szereg na pół zburzonych domostw, których mieszkańcy i właściciele Bóg wie gdzie i w jakich warunkach pędzą żywot wygnańczy.

Oto prawie że całość obrazu kadry żołnierzy Legionu.

— — — — — — — — — — — —

Więc mamy mieć dom rodzinny...

Parę dni temu przyszła niepewna wiadomość, że Liga kobiet pragnie założyć herbaciarnię... Skończy się zatem przesiadywanie w ciemnych norach żydowskich restauracyj i picie mętnych odwarów, herbatą tytułowanych.

Jak dobry duch opiekuńczy, nadciągła z Kielc czcigodna matrona polska p. wraz z córką, z Lublina pani z Ligi kobiet piotrkowskich pani przywiozły z sobą co tylko zabrać mogły i miały, a więc i naczynia kuchenne i biblioteczkę wędrowną. Skrzętnie zabrały się do pracy wraz z paniami: sanitaryuszką przy szpitalu Legionowym, właścicielką cukierni i żoną aptekarza i wielu innemi, których wyliczyć niepodobna. Co kto miał i czem mógł usłużyć — służył, aby Legionistom żołnierską dolę osłodzić i dać trochę ciepła rodzinnego.

Bo więcej się tutaj żyje ciepłem tego dziwnego ogniska, jakby domowego, niźli wytworami herbaciarni.

Wiele też w tym dobroczynnym uczynku dopomogła Liga kobiet radomskich i trzeba Jej oddać należne za to uznanie.

Więc w tym przybytku wieczorną porą, do ciepłych i przyjemnych pokoików schodzą się ze wszech stron miasteczka rozproszeni Legioniści, krzepiąc ciało dobrą herbatą, a ducha rozmową i czytaniem książek.

Chyba, że w całodziennym trudzie żołnierskim najprzyjemniejsza to chwila i każdy z Legionistów spieszy do Herbaciarni z takiem sercem, jakgdyby do bliskich krewnych lub do ukochanej rodziny, aby się choćby w milczeniu przysłuchać, choćby z daleka popatrzeć i ogrzać serce ciepłem rodzinnem — mimo, że tam wszyscy prawie jesteśmy sobie obcy i niedawno dola nasza nas złączyła i poznała.

Więc jak w domu rodzinnym — gdyż jedną w duszy mając ideę — staliśmy się przez to jedną wielką familią, jednym wielkim kołem rodzinnem, o wspólnych cierpieniach i nadziejach...

— — — — — — — — — — — —

„Figle relutońskie“.

Teatr to nielada i poraz pierwszy w życiu teatr taki widziałem i uczestniczyłem w nim.

Więc pokój w herbaciarni przemieniono na teatr. Pokrzywione ławki, pogięte krzesła — to sala kabaretu, stworzonego może z nudów, może z potrzeby duchowej, a może, by rozweselić smutne serca Legionistów.

Miast sceny drzwi zdjęte z zawias na dwóch skrzynkach drewnianych położone — kurtyna z prześcieradła — wokół drzwi na papierze wymalowane dwa pawie pióra, fortepian w drugim pokoju, zwanym szumnie „za kulisami“ i wszystko w porządku, czeka się tylko na gości, na starszyznę.

Wreszcie po „pro forma“ zaproszeniu zjawiają się oficerowie, zajmują miejsca i ze znudzoną twarzą spoglądają na scenę, myśląc, co też tu może być ciekawego dla nich.

Rozpoczęto kabaret.

Więc satyryczna pieśń dziadowska, zaczynająca się od słów: „Wędruje dziaduś z Krakowa, pyta, gdzie się grupa chowa“ i t. d. i t. d. Po każdej zwrotce wybucha salwa śmiechu i coraz większe zaciekawienie.

Znika więc początkowy wyraz nudy, twarze coraz więcej nabierają wesołości i zaciekawienia.

Po skończeniu oklaski dla wykonawców i powtórzenie niektórych części programu.

Następnego dnia musiano powtórzyć przedstawienie na ogólne żądanie Legionistów, no i „Figle relutońskie“ przedstawiane są co sobotę i niedzielę z nowym programem...

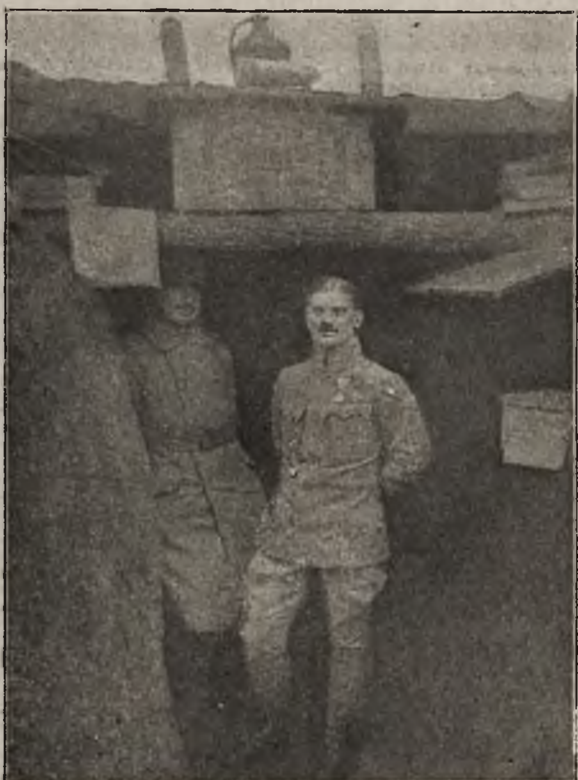
Więc płynie czas wojenny, dolę i niedolę żołnierską znosi Legionista jak może, a humoru nigdy nie traci, gdyż „Figle relutońskie“ uprzyjemniają mu żywot.



Wojna w Polsce: Zgliszcza w Ożarowie (Królestwo Polskie). (Fot. C B. W. — N. K. N.)



Szlakiem bojowym Legionów: Obóz Legionistów w polu.



„Krakowskie dzieci" w okopach: „Willa" komendanta 13 kompanii.



Szlakiem bojowym Legionów: Odpoczynek w lesie.





„Krakowskie dzieci" w okopach:

Fotograf 13 kompanii, jednoroczny kapral Pliszewski (X) ze swym oddziałem.

Pułk. kom. bat. kap Filimowski i por. Korpak podczas wizytacyi 13 komp.



„Krakowskie dzieci" w okopach: Wejście do okopów.



Szlakiem bojowym Legionów: Ostrzeliwanie nieprzyjaciela (Fot Dzikowski C B. W —N K N.)



Wojna w Polsce: Ogólny widok Urzędowa (Królestwo Polskie) po odwrocie Rosyan. (Fot. T. Langier, C. B. W. — N. K. N.)



Szlakiem bojowym Legionów: Jeńcy rosyjscy, wzięci do niewoli przez Legionistów (Fot. T. Langier, C. B. W. — N. K. N.)



Szlakiem bojowym Legionów: Odpoczynek w polu. (Fot. Langier. C. B. W.)



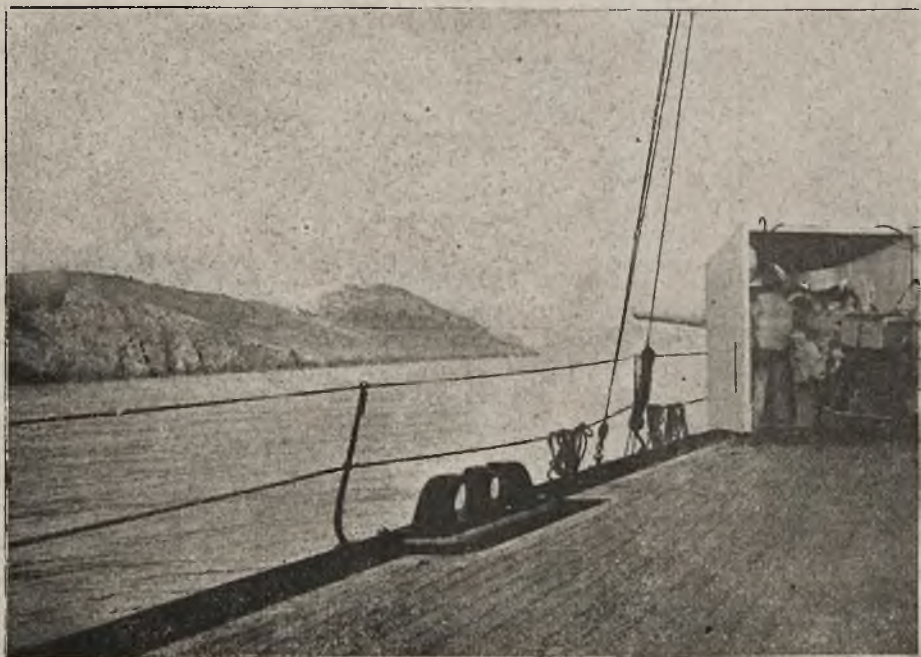
Szkoła Legionów w Kamieńsku: Dziatwa uczęszczająca do szkoły.

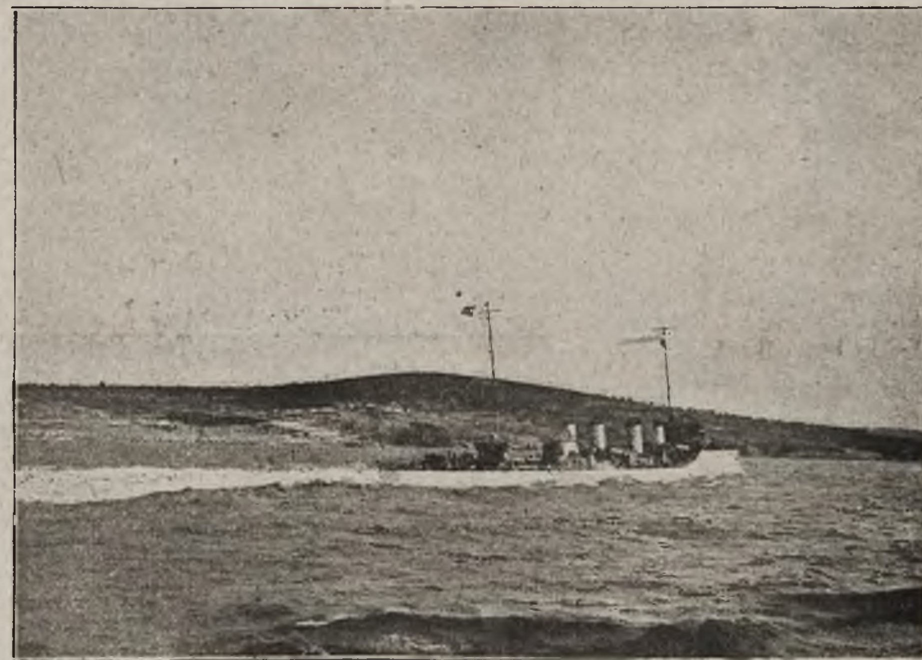


„Krakowskie dzieci“ w okopach: Grupa „trzynastaków“ z 13. kompanii, w jednym dniu udekorowanych za waleczność.

Szkoła Legionów

Dziwny to naród — naród legionowy. To nie tylko wojsko, które pełni żołnierską służbę. Gdzie może i jak może, pracuje, buduje przez się wyśniony gmach Ojczyzny. W największem też pozafrontowem środowisku Legionistów, wre praca na każdem polu. Legioniści-rekonwalescenci, przychodzący tu do sił po odniesionych ranach i przebytych chorobach, nie siedzą bezczynnie w wyczekiwaniu na magiczne słowo lekarza „zdrów“. Każdy z nich wie i rozumie, że dużo jest do roboty, że trzeba skorzystać z chwilowego wypoczynku i naprawiać to, co przez lat dziesiątek spaczał wróg. I powstaje szkółka dla dzieci, wśród trudnych warunków rozwija się teatrzyk amatorski, gdzie głosi się słowo miłości Ojczyzny, powstaje Czytelnia ludowa, ale obok okolicznościowych prac narodowych, najcięższą a jednakowoż najważniejszą działalnością Legionistów jest prowadzenie szkółki ludowej dla miejscowej dziatwy.





Austryacki okręt ostrzeliwuje wyspę Pelagozę, obsadzoną przez Włochów. **Na lądzie i morzu:** Austryacki kontrtorpedowiec u wybrzeży włoskich

Przypatrzmy się bliżej tej pracy.

Dnia 1. sierpnia 1915 roku, w budynku dawnej szkoły fabrycznej Towarzystwa Wojciechów, zebrało się po raz pierwszy od półtora roku 80 dziatwy, żądnej nauki. Inicyatorem i założycielem tej szkoły był p. major ówczesny komendant Domu rekonwalescentów, wielki miłośnik dzieci. Bez jakichkolwiek środków, tylko staraniem i własnemi siłami, przemysłem i zachodem kilku Legionistów-nauczycieli zaopatrzono szkołę w to, co być na początku musiało: w kilka ławek, książek i zeszytów. Pamiętam, jaką radością napawała wszystkich po jakimś czasie nowina „jest tablica“! Dziatwa garnie się ochoczo do nauki, robi dobre postępy. Lecz nie zapomniano również o tem, że przedewszystkiem głód trzeba zaspokoić. I zbierano skrzętnie kawałki chleba żołnierskiego, bardzo często żołnierze całe swoje racye odstępowali — rozdawano między dziatwę szkolną do przynoszonych przez nią naczyń pozostałość z kotłów. A jakże sumiennie baczyli pp. nauczyciele, by żadnemu się krzywda nie stała. Wzruszające to były obrazki, pięknym widokiem można było ucieszyć oczy, gdy widziano ten drobiazg, otaczający nauczycieli i nowego opiekuna, majora Albinowskiego.

Potrzeby rosną w miarę postępu w nauce, więc dziatwa urządza przedstawienia amatorskie, by dochód z tego obrócić na zakupno książek, kajetów i innych niezbędnych dla szkoły przedmiotów. Tak stoi sprawa do września 1915 r. Ażeby unormować naukę, zaprowadzić racyonalny program pracy, a co ważniejsze przyciągnąć większą liczbę dzieci, zgodnie z życzeniem rodziców zarządza się nowe wpisy, dające pokaźny wynik, bo aż 167 uczniów i uczenic. Nauka trwa do końca października. Nauczyciele: Legionista Łomnicki i Demczuk wszystko co możebne robią, cudów wprost dokazują. Lecz zda się, fatum zawistne zawisło nad instytucyą szkoły. Stan Domu rekonwalescentów niespodziewanie się zwiększa, lokal szkoły trzeba zająć na kwatery dla legionistów, a major powołany na inne stanowisko! Nauka ustaje, wydaje się tylko śniadania, obiady i kolacye. Lecz wkrótce znajduje się człowiek, co doniosłość tej pracy ocenia i nie tylko wskrzesza — zda się pogrzebaną już — szkołę, lecz podnosi ją na niebywały dotąd stopień rozwoju. Nowy komendant Domu rekonwalescentów, kapitan znajduje na to sposoby. Znalazł się lokal, wprawdzie wynajmowany i szczupły, a pokaźna część dochodu z przedstawień amatorskich, urządzanych przez Legionistów, pokrywa koszta wyposażenia szkoły. Naukę podejmują znów wytrwali w zamiłowaniu w swej pracy nauczyciele-legioniści: Łomnicki i Demczuk, zyskują dla szkoły wszystko, co potrzeba. Dziś posiada szkoła nawet tak luksusowe na obecne stosunki przedmioty, jak obrazy do nauki poglądowej i wszystkie wydawnictwa centralnego Komitetu szkolnego w Piotrkowie. Niestrudzeni nauczyciele kołatają wszędzie, zyskują poparcie zacnego inspektora, p. Karola, który żywo zajął się szkołą, zdobywając dla niej prawo publiczności, nadane przez c. i k. Komendę Obwodu w Piotrkowie.

Ciężkie są obecne czasy: zima, a dziatwa bez odzieży, bez obuwia. Lecz czegóż nie zrobią Legioniści. Jest św. Mikołaj, jest gwiazdka. Po przedstawieniu św. Mikołaj rozdaje podarki między uczniów; lecz niema tam cukierków i zabawek! Każde dziecko otrzymuje to ubranko, to trzewiczki, to ciepłą bieliznę, zależnie od potrzeby. Również i „Jasełka“ przyniosły takie same dary. I uczy się dziatwa po polsku, nie tylko czytać i pisać, lecz czuć po polsku, uczy się kochać swą ziemię ojczystą, uczy się kochać swych wielkich przodków.



„Krakowskie dzieci“ w okopach: Plutonowi 13 komp. 13 p. p., Stańko i Szewczyk, odznaczeni srebrnymi medalami I klasy za waleczność

Dziś dumni mogą być twórcy i opiekunowie, że szkoła stoi u szczytu rozwoju. Lecz zbliża się kryzys, grozi szkole nie tylko upadek, lecz zamknięcie. Z wyjazdem Domu rekonwalescentów zabraknie sił nauczycielskich, zabraknie funduszów. Lecz przy likwidowaniu tej instytucyi Legioniści będą mieli to poczucie, że zrobili więcej, niż było można, więcej niż siły i środki pozwalały, a to dzięki pp. majorowi kapitanowi i niestrudzonym nauczycielom.

hr.



Na lądzie i morzu: Pancerny krążownik austryacki.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

36

— To już koniec wszystkiego, kochanko. — wyszeptał drżąc z przerażenia. — Musimy uciekać. Ty przynajmniej, póki czas jeszcze. Jutro tu zarządzą śledztwo... Przyjdzie policya... Nałożą pieczęcie... Biegnij natychmiast do kasy ogniotrwałej i przynieś mi wszystko, co w niej znajdziesz...

— I co dalej, ojcze? — zapytała oszołomiona Sydonia.

— Ty uciekniesz do Niemiec z papierami wartościowymi i spalisz resztę... dowody... Tam są niebezpieczne rzeczy... rozumiesz... nie trzeba pozwolić, aby je kto odkrył...

— Co tam masz, ojcze?

— Nie pora teraz mówić, spiesz się...

— Ale ty, ojcze! Co się z tobą stanie? — zawołała Sydonia wstrząśnięta tym rozkazem.

— Ja? Drwię sobie z tego wszystkiego.

Bankierówna spojrzała z podziwem na ojca. Nie sądziła, aby był w stanie tak heroicznie zachować się wobec tak strasznej katastrofy.

— To nie może być! Musimy pomyśleć o tobie. — odparła stanowczo.

— Nie trzeba... uciekaj... bo będzie późno.

Ale Sydonią już kierowała dawna odwaga i zuchwałość, z zimną krwią rozważała chwilę.

— Nie odjadę bez ciebie, ojcze — wyrzekła spokojnie po jakimś czasie — Posłuchaj mnie tylko. Niebezpieczeństwo jest jeszcze groźniejsze, niż przypuszczać mogliśmy, niż ty przypuszczasz. Nie wiedziałam o rozpaczliwym stanie naszego banku, szczególniej nie mogłam się domyślać, że jest tak źle, po niedawnej wypłacie Kermorów...

— Ale kopalnie złota! zapominasz o tem! To, to mnie zabija.

— Tak rzeczywiście, straciliśmy wszystko bez ratunku. Mnie również nie powiodło się z Allanem le Brenn. Ale co jest najważniejsze i najniebezpieczniejsze, że ten okropny człowiek mnie poznał!...

— Co mówisz, Sydonio?

— Allan mnie poznał!

— Allan cię poznał! — powtórzył, drżąc bankier. — Tak, to jest straszne! Już teraz nic, nic nas nie wyratuje!

— Co on ma przeciwko tobie, mów, ojcze! Co ci może uczynić? — pytała Sydonia gorączkowo.

— Co on mi może uczynić? — odparł bankier, cofając się, jak przed widmem. — Ależ wszystko, rozumiesz! Może mnie na wieki przykuć do taczek galerniczych... może... Ach! co mówię zresztą! Jeżeli on działać zacznie, mam tylko jedno wyjście... rewolwer...

Blady, wyczerpany opadł na poduszki i ręką sięgnął, jak gdyby szukał czegoś obok siebie. Zrozumiała ten ruch Sydonia, zrozumiała, że ojciec radził jej ucieczkę, żądał, żeby zabrała kasę, bo chciał pozostać sam, aby spokojnie zakończyć raz burzliwe swoje życie. Nie! do tego dopuścić przecież nie może! Tej ofiary, ostatniej od ojca przyjąć nie może!... Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

— Ojcze! — rzekła stanowczym głosem — za godzinę wyjeżdżamy razem...

— To niemożliwe...

— To jest jeszcze możliwe! — wymówiła z naciskiem. — To jedno, niestety.

— Ale gdzie? jak?

— Gdzie? Pomyślałam już o tem... Przejedziemy w nocy przez granicę belgijską...

— Depesze pobiegną za nami na wszystkie strony.

— W każdym razie nie dziś jeszcze... Pojedziemy automobilem naszym, nad rankiem będziemy na granicy belgijskiej — to najbliżej... Ja maszynę sama poprowadzę — bądź spokojny!

— Allan może odnaleźć mnie wszędzie, moje dziecko — jęknął bezradnie de Bressien. — Ty musisz wszystko wiedzieć... To nie jest zwyczajne bankructwo, niewypłacalność... to jest coś gorszego... nadużycie zaufania... kradzież...

— Ach tak!

— Niestety.

— Nie mogłeś się zabezpieczyć? Odwrócić podejrzenia od siebie?!

— Nie mogłem!

— To nic! Ukryjemy się tak, że nikt nas nie wyśledzi... Można łatwo zmienić twarz... powierzchowność... Wczoraj przecież podobna byłam do mulatki.

— I poznano cię!

— Wiesz, w jakich okolicznościach musiałem opuścić przylądek Dobrej Nadziei — mówić zaczął dalej de Bressien złamanym, przygaszonym głosem. — Byłaś wówczas jeszcze bardzo mała. Dobiliśmy do Alaski, gdzie, jak mi się zdawało, mogłem stanąć na pewnych nogach. Założyłem tam wyszynk dla górników, ale wkrótce pomyślałem, że lepiej stać się ich bankierem i depozytorem. Podjąłem się ich spraw pieniężnych, przechowywałem złoto, które następnie na swój koszt wysyłałem do stołecznego miasta, gwarantując im bezpieczeństwo złożonych u mnie depozytów. Bo i tam, jak i tutaj do ostatniej chwili posiadałem ich zupełne zaufanie... A kiedy opuszczali kopalnie, o ile nie przetrwonili wszystkiego na miejscu, mogli podjąć swoją własność w Montreal lub Quebecu, jeżeli chodziło o poważniejsze sumy...

— Czy tam poznałeś Allana?

— Tak. Był górnikiem, jak inni i naszym klientem. Przypominasz sobie, polubił cię bardzo i nawet chciał cię wyposażyć. To był najlepiej zarabiający robotnik, ale też i najostrożniejszy i niedowierzający. Lękał się zawsze, że zostanie okradzionym lub zamordowanym, bo zdarzało się to u nas niekiedy — i wszystko, co posiadał, deponował jawnie u mnie. Ja zaś byłem strzeżony jak władca. Zawsze był przy mnie dozór i pomoc, czuwająca nad wspólnym tym majątkiem. Podróżowałem często, zmuszony jeździć w interesach górników do miast różnych. I dnia jednego nie powróciłem więcej do kopalni — rozumiesz mnie?

— I co dalej ojcze?

Bankier de Bressien odetchnął głęboko i westchnął:

— To było za piękne, aby się udać mogło... Miałem przy sobie papiery tamtego... wiesz... barona de Bressien. Długa, farbowana broda zmieniła mnie do niepeznania. Powróciłem tutaj i za te pieniądze ich, które byliby na pewno tam przepili i stracili — założyłem ten bank... I nie słyszałem nic o tamtych, ani o niczem... raz tylko... kiedy ten powrócił... ale on musiał umrzeć... dla mojego i twojego spokoju. Bank był na dobrej drodze... klientela wysoka wyrobiona... I oto teraz ten Allan zjawia się jak duch zniszczenia i to w chwili, kiedy kopalnie tracą na wartości... z rąk mi się wysuwają...

— Ojcze! — zawołała Sydonia, która bez drgnienia wysłuchała spowiedzi tej smutnej. — Nie myśl teraz o przeszłości. Ten Allan mógł mnie uprzedzić i przybyć przedemną do Paryża. On już tak raz zrobił... tam w Bretanii. Opowiem ci to w drodze... Musimy uciekać...

— Tak... weź te klucze i spiesz się... Przynieś wszystko, a ja rozpatrzę, co jest do zniszczenia. Każ przygotować automobil... powiedz, że jedziemy do Bois le Roi... i przyślij mi tu kogo do pomocy. Muszę się ubierać...

Sydonia wybiegła pospiesznie, niespokojna i drżąca, jakgdyby już nienawistną postać Allana miała za chwilę zobaczyć.

Donośne, ostre rozkazy zostały przez nią wydane służbie. Automobil miał być gotów natychmiast do przewiezienia chorego barona do swojej posiadłości. Potem udała się do pokoju, gdzie mieściła się kasa i całą jej zawartość złożyła na łóżku ojca. Bankier, wyprostowany na poduszkach, gorączkowo przeglądał papiery, sortował i odkładał te, które miały dla niego jakąkolwiek wartość pieniężną. Sydonia stała obok niego i do obszernej skórzanej walizy rzucała te, które miały pójść na zniszczenie.

— I to jeszcze — i to! — mruczał de Bressien, odrzucając z niechęcią kompromitujące świstki. — Wszystko do ognia! Niech śladu po tem nie zostanie. Spal uważnie, pamiętaj. Szukać wszędzie będą! Rzuć do kominka, pozbędziemy się prędko tego wszystkiego!

— Ależ ojcze! — zauważyła Sydonia, widząc, że skórzana waliza wypełnia się już po brzegi. — Może to nieostrożnie palić na kominku. Pozostaną ślady... popioły... I długo tlić się może. — Nie mamy czasu. Wiesz, co zrobię? Wrzucę do wielkiego pieca, tak będzie lepiej.

— Masz słuszność! — szepnął de Brzssien. — Ten piec oddał nam już raz nieocenioną przysługę — pamiętasz? Oh! gdyby można tak zrobić z Allanem! Bierz prędko! i rób jak uważasz!

Nazwisko Allana dotknęło Sydonię jak ostre uderzenie szpicruty, zasilając ją świeżym napływem energii i czynu. Ściągnęła gwałtownie z łóżka jedwabne przykrycie i związała w nie papiery, poczem skierowała się prędko ku bocznym schodom służbowym.

Z dołu dochodził już głuchy pomruk niecierpliwiącej się maszyny, gotowej do biegu. Sydonia biegła po schodach i dosłyszała ten szmer obiecujący. Uśmiech radosnej pewności przebiegł po jej pobladłej twarzy. Za kilka godzin będzie już daleko z ojcem, za granicami kraju, który opuszczała bez żalu. Tam będą mogli rozpocząć nowe życie w spokoju i dostatku, a któż wiedzieć mógł, czy los, dotąd dosyć jej sprzyjający, nie gotował dla niej jakiej szczęśliwej niespodzianki?

De Bressien ze swojego pokoju również dosłyszał pomruk sapiącego automobilu i wsłuchiwał się w niego z przyjemnością.

— Te motory są wspaniałym wynalazkiem — myślał z zadowoleniem. — To kolej żelazna, ale dająca więcej swobody osobistej i bezpieczeństwa. Niema konduktorów, służby, stacyi co kilkanaście kilometrów, ani żadnej kontroli. To opatrzność ludzi, chcących podróżować w ukryciu. Ale nagle de Bressien zadrżał silnie i twarz jego, wykrzywiona przestrachem, pokryła się grubemi kroplami potu. Zaczął nadsłuchiwać, nawpół wychylony z łóżka, oczy szeroko roztworzył, obłąkane lękiem i zgrozą. Jakiś krzyk go dobiegł... straszny... rozpaczliwy... krzyk Sydonii... poznał jej głos... jęki stłumione... odgłos zaciętej, głuchej walki!...

Na chwilę wszystko przycichło, ale znowu głos zabrzmiał silniej... rozpaczliwiej... jęki biegły zduszone... zbliżały się... nawoływania... charczenie nieludzkie... płacz spazmatyczny i nagle drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem... Oddech zamarł w piersi bankiera! Obłąkane spojrzenie wlepił przed siebie — Sydonia! Mój Boże, co to jest? Jakaś straszna, męcząca, piekielna wizya! Jakiś kłąb ognia, płomieniem i dymem ziejąca pochodnia wtargnęła do pokoju.

— Ratunku... ratunku! — ojcze!

Z okropnym jękiem agonii, potwór płomienny, ziejący syczącymi płomieniami, zwalił się ciężko u stóp łóżka!

Zerwał się bankier i pochylił nad tym drgającym konwulsyjnie, palącym się kłębem. Kiedy się podniósł, twarz jego była straszna! Z ust, pokrytych pianą, wydarł się krzyk wstrząsający!

— Ratunku! Ratunku! Służba! do mnie! Moje dziecko! Moje dziecko!

Skoczył do dzwonka i wstrząsnął nim rozpaczliwie. Robi się chaos i zamięszanie w pałacu. — Po schodach dudnią przyspieszone kroki — służba wbiega i w pierwszej chwili staje osłupiała, bezradna. Ale de Bressien nieprzytomny, oszalały już chwyta za jakieś ręce, błaga, prosi, rozkazuje, zdziera bogate, ciężkie portyery i makaty i rzuca na ziemię, pokrywa palące, bezwładne już ciało córki.

Nareszcie ktoś dogasił stłumione już płomienie, owiniętą kołdrami wynoszą jęczącą cicho Sydonię.

Ale już dom cały stoi w płomieniach! Gdzie ukryć się? Gdzie uciekać? Gdzie złożyć popalone okropnie ciało nieszczęśliwej? — Ktoś ze służby przypomina sobie nagle, że przed domem stoi automobil. Na szczęście szofer został na swoim posterunku. Po chwili motor unosi Sydonię, ale już nie w podróż zamierzoną, mającą jej przynieść spokój i bezpieczeństwo, ale do najbliższego domu zdrowia!

— — — — — — — — — — — —

Wyszedłszy z gabinetu ojca, Sydonia ożywiona nową nadzieją i bliskością ucieczki, zeszła ze schodów, trzymając w jednej ręce ciężką walizę, napełnioną dokumentami — w drugiej zaś zapaloną świecę. Dobiegłszy do głównego pieca, grzejącego kaloryfery, przyklękła przy nim i wrzucać pospiesznie zaczęła papiery, poczem podpaliła stos cały... Ale płomień nie obejmował go dobrze, kłęby szarego dymu powracały na zewnątrz, uderzając ją w oczy. Odkręciła jeden klucz regulujący ogień... płomień wystrzelił żywo w górę, unosząc ze sobą papiery, lecz opadły one natychmiast z powrotem, rozpraszając się pociągnięte przewiewem wokoło niej. Prędko więc zatrzasnęła silnie pierwsze drzwiczki pieca, lecz nie zauważyła dosyć prędko, że suknia jej pochwycona została. Próbowała uwolnić ją, wyciągnąć, ale napróżno, płomień gorący objął ją już całą, palą się od papierów suche kawałki drzewa, przygotowane do opału. Wówczas to, widząc całą zgrozę niebezpieczeństwa, wołać zaczęła rozpaczliwie o pomoc, siłą ostatnią wyrwała się, drzwi pieca otworzyły się szeroko, przepuszczając słup syczących płomieni i dymu. I wtedy już cała ogarnięta płomieniem, który obejmował ją, raniąc boleśnie, uciekać zaczęła przez korytarze, szerząc wokoło siebie niszczące zarzewie i nieprzytomna z bólu i trwogi, dobiegła do gabinetu ojca.

W pokoju, z którego wyniesiono Sydonię, pozostał teraz sam baron de Bressien. Ogień szerzył się coraz gwałtowniej, obejmując już wszystkie sprzęty, zagradzając wszelkie przejścia do ucieczki!

Zrozpaczony bankier, którego siły opuściły zupełnie, nie wiedział, jak się ratować, jak uciekać. Niemoc tak straszna ogarnęła jego schorzałe członki, że nie był w stanie ruchu uczynić. Rozszerzonemi, jakgdyby zahypnotyzowanemi źrenicami, wpatrzył się bezradnie w płomienny żywioł, szalejący wokoło niego. W jednej chwili zrozumiał, że niema już dla niego żadnego ratunku, że czeka go tu śmierć straszna, w najokropniejszych mękach konania... Konwulsyjnym ruchem pochwycił rewolwer, leżący pod poduszką. Rozległ się suchy trzask... ciało ciężko, bez jęku zwaliło się na ziemię...

A nad niem łuna ognista, rozszerza się... wzrasta... Pali się bank cały! Niedawna chwała i duma starego aferzysty. Ulica cała rozświetla się gorejącym blaskiem, napełnia gorączkowym ruchem i krzykiem. Ale ratunek przybywa zapóźno... Już żadna siła ludzka nie jest w stanie ujarzmić żywiołu, który się tu rozpanoszył! Z głuchym trzaskiem walą się ogniste słupy i belki, grzebiąc pod sobą zwłoki bankiera de Bressieu!... Nie wzniesie się już z pod nich niszcząca duma i ambicya jego, szerząca za przejściem swojem zło i nieszczęście...

Sprawiedliwość.

Greet Allan był zwolennikiem szybkiej decyzyi i energicznego działania. Czynił w ten sposób nie z wyrachowania i snobizmu, lecz przez umiejętne docenianie wartości czasu; jeżeli, mówił, załatwić mogę się szybko z jedną sprawą, zostanie mi dosyć czasu na załatwienie drugiej i trzeciej. Przeprowadzał on wszelkie czynności swojego życia z należytem zrozumieniem i celowością; lecz kiedy nie zachodziła gwałtowna potrzeba działania i konieczność — co zdarzało się u niego dosyć rzadko, zważywszy gorący jego temperament i żywiołowość — lubował się w powolnym czynie, odpoczywał w rozmyślaniu, po dokonaniu ciężkiem jakiegoś przedsięwzięcia, nabierając sił i sprężystości do dalszej walki z losem, pewny już, że go instynkt i energia nie zawiedzie.

Obmyślił więc i teraz, że nie może niepokoić swoją osobą po nocy markizę de Kermor i odłożył tę wizytę na dzień następny. Chciał przytem, aby przejażdżka z Bretanii na ulicę Beotic była w całej pełni przyjemną dla Janiny. Postanowił, że zatrzymają się dla odpoczynku kilkogodzinnego w Rennes albo Yans i zwiedzą pobieżnie te miasta, nieznane młodej dziewczynie. Chciał dać wrażenie miłej, turystycznej podróży, czynionej dla rozrywki.

Na wszystkie zapytania Janiny, proszącej o wytłumaczenie niejasnych dla niej wydarzeń, odpowiadał niezmiennie, uśmiechając się chytrze, że trudu tego wobec niej podejmie się najchętniej przyszły jej mąż, z którym będzie mieć dosyć czasu na szersze i wyczerpujące rozmowy.

I Janina, widząc, że nic nie uzyska w tym kierunku, oddawała się biernie radosnym chwilom teraźniejszości, wsłuchana w ciche, spokojne bicie własnego serca, zapadając coraz głębiej w stan rozmarzenia, pełnego snów uroczych i nadziei. Raz tylko, kiedy dojeżdżali już do bram Paryża, chciała otrząsnąć się z tego upojenia, wyjść z tego zaczarowanego koła szczęśliwości i złudy, bojąc się jeszcze, że to sen tylko.

— Wuju Allanie! — wyrzekła prosząco. — Muszę z tobą poważnie się rozmówić. Nie mogę w ten sposób powracać do markizy de Kermor. Nie mogę zostać narzeczoną hrabiego de Kermor i przyjąć jego szalonej propozycyi.

— Doprawdy, moja kochanko — odparł uśmiechając się Allan, patrząc z pod oka na młodą dziewczynę. — Może zechcesz mi wytłumaczyć dlaczego?

— To przecież takie proste, wuju Allanie...

— Jeżeli proste, to może i ja zrozumiem.

— Byłam, jak wiesz, prostą robotnicą u pani markizy i czemże jestem obecnie? To zuchwałość z mojej strony przyjmować jej łaskę.

— I ja też byłem niczem swojego czasu i podskoczyłem przecież w górę... A ty jesteś moją siostrzenicą o ile mi się zdaje.

— To prawda, wuju Allanie. Ale zapomniałeś o mojej smutnej przeszłości... o więzieniu... o całym tym wstydzie i hańbie, wiadomej pannie Sydonii de Bressien, która zechce ją rozgłosić i rzucić na mnie! A Delrue! ten także zemścić się zechce na rodzinie Kermorów!

— Moje dziecko — odparł poważnie Allan — rozumujesz bardzo logicznie, ale zapominasz ty znowu o najważniejszej rzeczy, która pokrywa tamto wszystko. Zapominasz, że jak się ma za sobą niewinność i prawdę — ma się prawo do odwetu losu i opieki ludzi uczciwych. Proszę cię, pomyśl nad tem cokolwiek, a uczyniSZ mi wielką przyjemność.

Automobil wjeżdżał już z przedmieścia, w ulicę ruchliwą i pełną magazynów.

— Pozwolisz, kochanko — rzekł grzecznie Allan — że każę tu stanąć i wykupić wszystkie dzienniki w tym oto kiosku. Chociaż podróż naszą zaliczyć mogę do najprzyjemniejszych w mojem życiu, jednak muszę ci wyznać, że tęsknię już za drukowanym papierem.

Mówiąc to dał znak szoferowi do zatrzymania się i po chwili powracał uśmiechnięty, niosąc na rękach stos różnorodnych dzienników. Kiedy motor ruszył, Allan podał Janinie część zakupionych dzienników, a sam pobieżnie przejrzał jeden z nich.

— Moje dziecko — rzekł po jakimś czasie, przerywając czytanie. — Myślę teraz także, jak i ty, o Andrzeju Delrue. Jestem pewny, że ten nędznik będzie wolał milczeć, bo w przeciwnym razie narazi się bardzo. W jego interesie będzie leżeć, tak postąpić, aby jak najprędzej zapomniano o nim. Zresztą ja się sam tego podejmę.

I naznaczając jej paznogciem ustęp czytany, zatytułowany „ostatnie nocne wiadomości“, dodał jeszcze pozornie spokojnym głosem:

— Proszę cię, przeczytaj to jeszcze. Przekonasz się, że ktoś, bardziej wpływowy od twojego wuja, zajął się tą sprawą i załatwi resztę, która może przedstawiała pewne trudności dla mnie.

— Pragnę być za dwie minuty na bulwarze Haussmanna — zwrócił się do szofera. — Rozumiesz, mój chłopcze. Jeżeli tego bez wypadku podjąć się nie możesz, to mogę cię zastąpić przy sterze.

— Będziemy za dwie minuty na bulwarze Haussmanna — zawołał szofer.

— Greet Allan musiał coś dobrego dla siebie znaleźć w dziennikach — pomyślał, puszczając w ruch maszynę, bo powracamy do normalnego tempa.

Wiadomość wyczytana przez Allana brzmiała w następujących słowach:

„Donosiliśmy już o scenach wstrząsających, mających miejsce przed bankiem na bulwarze Haussmanna, a wywołanych zupełnem bankructwem firmy de Bressien i spadkiem akcyi kopalnianych. W chwili, w której tę wiadomość dajemy do druku, bank cały stoi w płomieniach. Straty są kolosalne. Pod szczątkami domu zginął sam baron de Bressien, zaskoczony w łóżku tym strasznym wypadkiem.

Panna Sydonia de Bressien, jedyna jego, ukochana córka, została przewieziona do szpitala Beaujon, w stanie beznadziejnym. Całe ciało jej i twarz pokryte są okropnemi ranami. Przyczyną wypadku była nieostrożność samej bankierówny“.

— Oh! nieszczęśliwa! — szepnęła Janina, przejęta grozą i współczuciem. — Czy to możliwe, mój Boże! Taka piękna, taka bogata! stworzona do przepychu i szczęścia! Wuju Allanie! błagam cię, udajmy się do niej, aby zasięgnąć wiadomości... to niedaleko stąd... Mój Boże! ona w szpitalu.

Allan pogwizdywał, jakgdyby nie słyszał słów siostrzenicy.

— Wuju Allanie, proszę cię, jedźmy do niej! — powtórzyła Janina, chwytając go za rękę.

Allan odsunął ją spokojnie od siebie i pogwizdywał dalej.

— Moja kochanko — odezwał się wkońcu — proszę cię, zechciej mi się dobrze przypatrzeć, jeżeli ci to za wielkiej przykrości nie sprawi. Zdaje mi się, że w niczem nie jestem podobny do anioła litości i miłosierdzia. No, przyznaj sama, czy tak nie jest?

— Ależ wuju Allanie... wobec takiego strasznego nieszczęścia, czy nie mógłbyś zapomnieć...

— Na to straszne nieszczęście poradzić może tylko lekarz szpitalny, nikt więcej. A teraz posłuchaj jeszcze moja mała. Chciałbym, żebyś wiedziała, że ta dziedzina czystego sentymentalizmu niema nic wspólnego z moimi interesami finansowymi. Może ci się uda prędzej nakłonić markizę de Kermor do tak dobroczynnego dzieła, chociaż, uprzedzam cię, narazić się możesz z jej strony na nieprzyjemności. Pamiętaj, że daję ci dobrą radę. Trzeba zawsze ostateczne rozwiązanie pozostawić sprawiedliwemu losowi.

— Jak to, wuju Allanie? To ty! ty tak mówić możesz? — zawołała Janina, blizka płaczu.

— I myślę w ten sposób, całą siłą mojego bezwzględnego serca, które na szczęście nie jest wrażliwe, jak serce ośmnastoletniej, naiwnej dziewczyny. Niema o czem mówić już kochanko! Patrz, ruch na tej ulicy zupełnie przerwany i już dzięki Bogu nic nie zostało z tej nory złodziejskiej!

Wyciągnięty kordon policyantów utrzymywał tłum ciekawy w pewnej odległości od zgliszcz, palących się jeszcze i przepuszczał przejazd powozów przez przyległe ulice.

— Mój przyjacielu — rzekł Allan do szofera — powiedz temu sympatycznemu stróżowi bezpieczeństwa, że maszyna nasza uległa wypadkowi i nie może ruszyć dalej.

Szofer poszedł za tym rozkazem i Allan mógł swobodnie przyglądać się zgliszczom, po których jeszcze uwijali się strażacy.

— Byłoby wielkiem nieszczęściem i niesprawiedliwością — odezwał się po chwili — gdyby który z tych dzielnych ludzi stracił życie, ratując tę kreaturę, która tam pod spodem leży.

— Dymu dużo! dużo dymu! — dodał pogardliwie się krzywiąc — i to nieczystego... De Bressien już nie żyje i nic już od niego żądać nie mogę!

Ujął za rękę Jankę, zapatrzoną w smutne to widowisko i rzekł jeszcze poważnie:

— Moje drogie dziecko — majątek Allana górnika został ostatecznie pochłonięty i zniszczony w tej brzydkiej katastrofie. I stratę tę ty ponosisz — ale nie tracę nadziei, że jeszcze na innym świecie spotkam się z Izmaelem Bronnem i przypuszczam, że tam już nie ukryje się pod skradzionem nazwiskiem barona de Bressien.

— Szofer! A co tam z maszyną? — zawołał donośnie! — Czy możemy już ruszyć? Widzisz przecież, mój chłopcze, że przeszkadzamy tym panom i tamujemy ruch uliczny. Nie zechcesz chyba, aby ci pomogli motor popychać.

Policyanci uśmiechnęli się na te słowa i rozstąpili, z czego skorzystał szofer i wypuścił maszynę całą siłą naprzód.

— A teraz na ulicę Beotic, jak najprędzej!

— — — — — — — — — — — —

Markiza de Kermor powiadomiona została natychmiast o katastrofie na ulicy Haussmanna. Pierwszem jej wrażeniem była litość i współczucie dla dotkniętych nią ofiar. Tego samego dnia jeszcze otrzymała list, który smutną treścią swoją wzruszył ją do łez. List ten był od Luizy Rieux.

Pani markizo! — pisała. — Istota nieszczęśliwa, której pani już raz przyszła z pomocą, zwraca się raz jeszcze do pani. Proszę o wybaczenie i wyrozumiałość, gdyż będzie to już po raz ostatni. Niedługo umrę. Lekarze w szpitalu czynią mi pewne nadzieje, ale czuję, że oni się mylą, lub też chcą mnie pocieszyć. Zdaję sobie jasno sprawę, że dni mojego życia są policzone. Za winę swoją pokutuję i to jest sprawiedliwe. Zgotowałam sama nieszczęście w domu rodzinnym — powinnam się więc usunąć na zawsze. Tylko przedtem pragnę jeszcze uzyskać przebaczenie ojca, a potem spocząć obok grobów matki i babki mojej. Pani markizo, gdyby pani mogła wyjednać dla mnie to przebaczenie, jakżeby moja śmierć lekką była!

Zuchwałość moja jest wielka, ale wybaczy mi pani, gdy pomyśli, że zupełnie samą jestem na świecie i że już umrę wkrótce. Zachowałam tylko drogie wspomnienie dwóch istot: Matki przełożonej w Schronisku i młodej dziewczyny Bretonki. One to obydwie skierowały mnie wówczas do pani.

A teraz lękam się, czy nie dopuszczam się brzydkiego czynu, ostrzegając panią przed człowiekiem, który jest sprawcą mojego nieszczęścia. Nie powinno się pragnąć zemsty, ani chcieć szkodzić komukolwiek. Ale zdaje mi się, że jest to moim obowiązkiem, że powinnam ostrzedz panią i wyjawić prawdę. Czy zechce pani markiza uwiadomić pana Andrzeja Delrue, o ile on jeszcze znajduje się w jej służbie — że grób jego dziecka znajduje się na cmentarzu w Bagnex w spólnym dole, bo kiedy zachorowałam i wzięto mnie do szpitala, znajdowałam się w ostatniej nędzy i opuszczeniu. Ojciec mój zaś jest komendantem w Rieux; kiedy uciekłam od niego, okrywając go wstydem i rozpaczą, mieszkał na ulicy Lepic w Paryżu, lecz zdaje mi się, że obecnie jest pułkownikiem i znajduje się w Nancy, gdyż tam po raz ostatni widziałam go na manewrach. Zostałam posłana do Nancy z biura do jednej rodziny, jako nauczycielka i wtedy ujrzałam go, jak przybity i zmieniony, wjeżdżał z wojskiem do miasta. Wówczas to powróciłam do Paryża, gdzie przebyłam straszne dnie w męce i niedostatku, aż wkońcu dostałam się do szpitala. Pani markizo, błagam panią gorąco o pośrednictwo wobec mojego ojca. On zna tylko obowiązek i honor, ale może przecież wybaczy konającej i zrozpaczonej córce. Polecam się miłosierdziu pani markizy w nadziei, że pani nie odrzuci mojej ostatniej prośby.

Luiza Rieux.

Markiza de Kermor zajętą była czytaniem tego listu, kiedy do buduaru wszedł służący, oznajmiając przybycie Allana le Brenn i jego siostrzenicy Janiny.

— Boże wielki! — zawołała z radością pani de Kermor — co za szczęśliwa niespodzianka! Prosić natychmiast.

(Dokończenie nastąpi).

Wieczór plastyczno-rytmiczny.

W teatrze miejskim w Krakowie został urządzony staraniem konserwatoryum tanecznego p. Leopolda Poi Dolińskiego wieczór plastyczno rytmiczny, który dwukrotnie zapełnił salę do ostatniego miejsca i zdobył pełne uznanie zarówno publiczności, jak i prasy. Sześćdziesiąt uczenic od lat pięciu do ośmnastu w strojach greckich, w formie bardzo estetycznej, jak w żyjącym kalejdoskopie, przedstawiły udatnie szereg wybitnych interpretacyi plastycznych do utworów: Griega, Chopina, Mendelsohna, Noskowskiego i wielu innych. Walc A mol Chopina, wykonany przez p. Dziunię B., duet taneczno-charakterystyczny przez pp. Stefanię i Janinę L., oraz „Motylek“, duet fantazyjny, odtworzony przez pp. Saszę H. i Florę K., przyjmowane były burzą oklasków. Stojąca na czele zespołu ulubienica publiczności, Nina Dolli, wykonała szereg utworów rytmicznych, jak zwykle, pięknie. Szczególniej „Nokturn“ Mendelsohna i „Kol nidre“, psalm żydowski, odtworzony misternie, z siłą prawdziwie artystyczną, zdobyły ogólny poklask.



Wieczór plastyczno-rytmiczny: „Poranek“ Griega



Wieczór plastyczno-rytmiczny: „Smierć Azy“ Griega.

Powodzenie tego przedstawienia pozwala przypuszczać, że sztuka plastyczno-rytmiczna, według metody Dalcrosa, uprawiana w Krakowie przez p. Dolińskiego, zawsze znajdzie i wśród naszej publiczności licznych zwolenników, czego najlepszym dowodem urządzony wieczór plastyczno rytmiczny.

„Krakowskie dzieci“ w okopach.

Walka pozycyjna, ciągnąca się nieraz miesiącami na jednem miejscu, stworzyła zupełnie nowe warunki obecnej wojny, o których nikomu dawniej się nie śniło. Okop stał się podstawą tej nowożytnej walki i w ciągu obecnej wojny ulegał ciągłym ulepszeniom i udoskonaleniom — od zwykłych rowów, aż do zabezpieczonych palami i betonem ubikacyi podziemnych, w których nie brak łóżek, pieców, a nawet światła elektrycznego.

W tych podziemnych mieszkaniach, urządzonych z większym lub mniejszym „komfortem“, przepędzają dnie i noce miliony żołnierzy, dla których okop stał się drugim domem. Tam, w tych prowizorycznych mieszkaniach, walczą i umierają, ale w wolnych od tego obowiązku wojennego chwilach potrafią także weselić się i radować... Zycie ludzkie nie zmieniło swych właściwości i w okopach.

O urządzeniu tych okopów i życiu w nich żołnierzy i oficerów dają dokładne pojęcie fotografie, nadesłane nam przez 13 kompanię 13 p. p. „Krakowskich dzieci“. Część tych interesujących zdjęć zamieściliśmy w poprzednim numerze, dalsze podajemy w dzisiejszym.



Na lądzie i morzu: Okręt wojenny w doku (śruby okrętowe).

Kronika tygodniowa.

Na wstępie muszę zaznaczyć, że wyznaczone przez krakowską Ligę kobiet trzy dni wstrzemięźliwości i ofiary, które miały przypaść na same ostatki, odznaczały się zupełnym brakiem wstrzemięźliwości, a temsamem o ile mi dotąd wiadomo, ofiary nie popłynęły wcale. To przynajmniej dobre, że kosztów urządzenia chyba żadnych nie było, u nas bowiem te nieszczęsne koszta pożerają z zasady prawie cały dochód.

Również proponowany przezemnie dzień wstrzemięźliwości we środę popielcową nie odbył się z powodów od Redakcyi niezależnych. Ja sam muszę się pochwalić, że w dniu tym ani alkoholu, ani tytoniu do ust nie wziąłem, ponieważ zaś w karty z zasady nie grywam i do teatru nie chodzę, mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że byłem wzorowo wstrzemięźliwy, wobec czego pewne relutum w gotówce, w dniu tym oszczędzonej, jestem gotów przy sposobności złożyć na ołtarzu ofiarności publicznej, pod warunkiem przecież, że znajdą się i inni mnie podobni i dowiemy się, na jaki cel pieniądze będą przeznaczone.

Że się przedsięwzięcie nie udało, przypisuję to samemu sobie i temu mojemu obrzydliwemu pechowi, o którym tyle razy już wspominałem. Do tego stopnia nie mam w życiu szczęścia, iż jestem pewny, że gdybym był tak przypadkiem kapelusznikiem, ludzie rodziliby się stanowczo bez głów. Na przyszłość wobec tego wstrzymam się od stawiania projektów, aby ich z góry nie zapeszyć.

Ponieważ mamy już czas wielkopostny, wobec czego nie wypada zajmować się płochemi rzeczami, w ubiegłym tygodniu większą część wolnych chwil poświęciłem na poważne studya, w pierwszym rzędzie na badanie mód i najnowszych kostyumów wiosennych dla pań i panienek. Jest to lektura bardzo przyjemna i pouczająca, czasem też nieco smutna, zwłaszcza, gdy się wyczyta tak ważną wiadomość:

„Natomiast do tej pory nie ustalono jeszcze ostatecznie formy rękawów. Bufy znajdują się raz na ramiączkach, kiedyindziej w środku rękawa lub u dołu, a niekiedy, dla odmiany, brak ich wcale".

Wyobrażam sobie, jak niejedna z pań będzie sobie musiała łamać głowę, którą wybrać w ostateczności i już dla tego samego dziękuję Bogu, że jestem mężczyzną i mody mało mnie obchodzą. O ile mnie to przecież dotyczy, pozwoliłbym sobie zrobić uwagę, że tego roku wymysłom mody powinno się dać spokój, pieniądze zaś, przeznaczone na ten cel, obrócić na coś więcej realnego. Zeszłoroczna sukienka wystarczy zupełnie, im kobieta będzie skromniej ubraną, tem wyglądać będzie poważniej. Obejdzie się bez haftów „zwłaszcza srebrnych", efektownych kołnierzy, dających się zapinać wysoko, lub wykładać swobodnie na ramiona, koronek, bukiecików, kwiatów i t. d. To wszystko są niepotrzebne wymysły mody celem napchania kieszeni różnych pomysłowych jednostek, które siłą się nad tem, by wymyślić coś oryginalnego (a może raczej „cudacznego"?... *przyp. zecera.*), co rzekomo podnosi urok kobiety i dodaje jej wdzięku. Najczęściej przecież to się nie udaje i laleczka, ubrana według wszelkich prawideł najnowszej mody, staje się celem śmiechu, a nie podziwu reszty publiczności.

Wystarczy chyba dla scharakteryzowania dziwactw mody odezwanie się pewnego jegomościa, który na podstawie własnego doświadczenia stwierdził, że damski kapelusz jest dopiero wtedy prawdziwie oryginalny, gdy się kobieta w nim na noc spać położy, lub gdy ktoś na nim mocno siędzie. Tak stało się ongiś jego żonie i omal, że nie dostała pierwszej nagrody na wystawie modnych kapeluszy najnowszego fasonu.

Również do spraw mody zaliczyć wypada wiadomość, jaką przynosi paryski dziennik *„Gaulois"*. Stwierdza on na podstawie ścisłych informacyi, że brak kauczuku jest w Niemczech tak wielki, iż nie można już dostać porządnych podwiązek. Coraz głośniej rozbrzmiewają też skargi dziewic niemieckich na ten niedostatek, któremu próbują zaradzić przez używanie podwiązek pojedynczych, lub zwykłego sznurka. Często też na ulicach Berlina można widzieć kobiety, usiłujące kurczowo podciągnąć opadające... pończochy. Podobno Niemki piszą do swych mężów w polu rozpaczliwe listy, aby ci, zaraz po zdobyciu Paryża, przysłali im stamtąd podwiązki.

Gdym to przeczytał, rozjaśniło mi się dopiero w głowie. Zrozumiałem, dlaczego wojsko niemieckie tak gwałtownie zabrało się do zdobywania Verdun, skąd już prosta droga prowadzi do Paryża, gdzie są jeszcze podwiązki. Widzę też, że i moda ma przecież pewien związek z wojną i wpływ na nią, czekam też, rychło pojawi się jakieś dzieło strategiczno-modniarskie.

Nie śmiejmy się jednak z tego braku kauczuku, bo to, co dolega mieszkankom Berlina, niedługo może się dać we znaki i Krakowiankom. I u nas brak kauczuku, podwiązki i szelki już zdrożały i, kto wie, czy nie przyjdzie czas, gdy ich zupełnie zabraknie. A cóż będziemy robić wtedy?... Podwiązki niech po berlińsku zastąpi sznurek (dlaczego nie wstążka lub tasiemka?), cóż jednak podtrzyma w upadku nasze męskie „niewymowne"?... Pasek rzemienny chyba nie, bo skóry także brak, sznurek się do tego również nie nadaje.

Wyobrażam sobie, ile to wówczas „katastrof" zanotują kroniki pism codziennych!

A wszystko to stoi w ścisłym związku z ową wojną, w sprawie której zabrała głos nareszcie paryska wróżka, pani de Thèbes.

Pewien paryski dziennikarz, jak on się tam zwie, to już mniejsza, nie mogąc się doczekać wydania przez słynną prorokinię nowego tomu „Almanachu", wybrał się do niej osobiście i, jak twierdzi, przyjęty został z właściwą jej uprzejmością. Przytem wręczyła mu tom nowego swego kalendarza, który właśnie ma się ukazać, na razie bowiem znęca się nad nim jeszcze oprawca.

Jako grzeczny pan nie podrwiwał sobie gość z gospodyni na temat zeszłorocznych przepowiedni, wedle których rok 1915 miał być „wielkim rokiem zwycięstwa".

Na zapytanie, jak długo potrwa obecna wojna, odpowiedziała nowoczesna Pytya, siedząc na kanapie, nie na trójnogu:

— Ja panu zaraz powiem i wytłumaczę! To jest tak... Wojna skończy się albo w marcu, albo we wrześniu... Proszę sobie dobrze zapamiętać, marzec, albo wrzesień...

— A gdyby nie?

— Ha! To ja temu nie będę winna. Powiadam: marzec, albo wrzesień!... W marcu gwałtowne wstrząśnienie całą Europą... Jeśli ono nie rozstrzygnie o końcu wojny, to skończy się ona we wrześniu...

— No, a jeżeliby?...

— Żadne jeżeliby!... W zimową kampanię nie wierzę, choć w ciepłą bieliznę na wszelki wypadek już się zaopatrzyłam...

Potem chwaliła się tem, co się z jej przepowiedni już ziściło, obiecywała, że reszta później się ziści, ubolewała też, że ludzie widocznie „nie chcą już słuchać Kassandry", gdyż z roku na rok coraz to mniej sprzedaje swych kalendarzy.

Na zapytanie, co sądzi o przyłączeniu się Bułgaryi do państw centralnych, odparła, że nie było to dla niej żadną niespodzianką. Nie miała ona i nie ma zaufania do króla Ferdynanda, który ma szpiczaste palce...

— Czy być może?! — zawołał zdziwiony interlokutor.

— Tak! Znam dobrze te palce! Szpiczaste, że aż fe! Dyplomaci powinni zaczynać swą pracę przedewszystkiem do stydyowania rąk tych, z którymi mają mieć do czynienia... — odparła.

— A inne części ciała?

— Te mniej w grę wchodzą, ale także nie są bez znaczenia.

— Zresztą zbliżamy się już do końca... — w tem miejscu przybrała minę bardzo uroczystą i kończyła z namaszczeniem. — Słyszę już przed bramami turkot wozu tryumfalnego. Jeszcze tylko trochę odwagi! Los położył już rękę na klamce końca.

— A może to Zeppelin tak huczy nad Paryżem, nie wóz trymfalny turkocze?

— Co też pan mówi! Ja się znam przecież na tem i potrafię odróżniać różne głosy... Powiadam, że wóz tryumfalny i koniec... Ale żegnam pana, boję się, by mi się wątróbka nie przypaliła. Smażę ją na obiad... Takie teraz wszystko drogie... A może pan pozwoli kawałeczek?... Palce lizać!

— Dziękuję bardzo! Spieszy mi się do domu na obiad... Moja żona nie żartuje, spaźniać mi się nie wolno!

— To bardzo ładnie! W ten tylko sposób może być utrzymany w domu ład i porządek, a od niego wiele bardzo zależy... W takim razie może pofatyguje się pan do mnie jutro na herbatkę po południu?... Ale proszę przynieść ze sobą kartę chlebową!... Będzie kilka mych przyjaciółek, zagramy sobie w maryasza...

Na tem skończył się wywiad, z którego dowiadujemy się, że wojna ma trwać do marca lub do września, niewiadomo przecież, w którym roku, gdyż o tem ostrożna pani Thèbes nie wspomina. Marzec mamy już, do września czekać nie tak długo, kto więc cierpliwy, przekona się, czy się znów biedna nie pomyliła.

A może owe odnalezienie nóg Buddy w Rewalpindi jest zwiastunem początku końca? Jeśli tak, zyskałby sobie we mnie Budda wielkiego zwolennika i przyjaciela, który opiewałby jego nogi i sławę wierszem i prozą... Gotów byłbym na jego cześć poświęcić wówczas to, co mam najdroższego (na przykład... Weronisię!... *przyp. zecera*).

Na razie, aby nam się nie przykrzyło, mamy natomiast nowe wydanie taryfy maksymalnej, która podrożyła nam mięso wszelkich rodzajów i tłuszcze, a zarazem wprowadziła w życie mąkę rumuńską, która ma być bardzo dobrą i świadczy chlubnie o neutralności Rumunii, zawiera bowiem w swem wnętrzu worki, kamienie, słomę, piasek i inne tego rodzaju delikatesy. Stwierdzono też, że worek ten i ów waży z zasady mniej o pięć kilogramów, niż podano, co wpływa bardzo dodatnio na zmniejszenie żarłoczności u ludzi i zmusi ich do przestawania na małem.

Z chwilą, gdy podrożały tłuszcze, znalazły się ich zapasy u masarzy, narzekają oni jednak, że tracą na tym interesie kolosalne sumy i przyjdzie im po prostu „skapać", jeśli znów ceny nie pójdą w górę. Zdaje mi się, że się pocieszą, bo nowe wydanie taryfy już się układa... Ale my tymczasem odzwyczaimy się od jedzenia, więc i tak nie zrobią interesu.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W B., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko słynnego polskiego kaznodziei.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Przyrząd wojenny nowoczesny 3 Sekta religijna. 4 Mowca grecki 5. Przyjaciel Mickiewicza. 6 Imię męskie 7 Miasto we Francyi 8 Rodzaj powieści 9 Utwór sceniczny 10. Zapowiedź wojny. 11 Praojciec żydów. 12 Przyimek. 13 Samogłoska.

Szarada.

Ułożył St. Ekier z Krakowa.

Gdy żołnierz w *czwartej* śmiertelny się rzuci,
Poczciwa *całość* niezmiernie się smuci
I *pierwsza-druga* cicho *drugie-trzecie*
Przygotowuje, jak to o tem wiecie.
Całości... piąte-trzecie Pan Bóg podaruje,
Że bóle ludzi tak serdecznie czuje.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek. Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy, utworzą nazwiska dwu słynnych malarzy holenderskich.

□ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Dopływ Maricy. 3. Gatunek wina. 4 Zwierzę drapieżne. 5 Bohater z czasów Karolińskich 6 Gwiazda 7. Ssak morski 8 Ssak morski 9. Miasto w Niemczech.

Zagadka rachunkowa.

Ułożyła E. Leyówna, Kołpiec.

Podane cyfry tak poprzestawiać, aby suma szeregów pionowych i poziomych, oraz wzdłuż obu przekątni, wynosiła 80.

4	5	6	7	8
9	10	11	12	13
14	15	16	17	18
19	20	21	22	23
24	25	26	27	28

Przysłowiówka.

Ułożył K. Kowalski. Wiedeń.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną literę, idąc pięć razy z góry na dół i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.
2) Pańskie oko konia tuczy.
3) Kto chce psa uderzyć, kija znajdzie.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

d	d	e	i
i	o	p	p
r	r	r	r
y	y	y	z

Znaczenie wyrazów: 1. Kraj w Grecyi. 2 Jarzyna. 3. Metal. 4. Gatunek grzyba.

Szarada.

Ułożył H. M., Kraków.

W Ameryce *pierwsze i czwarte* znajdziecie,
Tworzą one największy łańcuch gór na ziemi,
Drugie jest to zaimek, włoska rzeka *trzecie*,
Całość punkty końcowe są średnicy globu,
Więc gdziekolwiek staniecie, pod stopami swemi
I popod kulą ziemską szukajcie ich obu.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
d	e	e	n
n	r	t	t
w	w	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór liryczny. 2 Osad na żelazie. 3 Imię biblijne. 4 Część kościoła.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Widzi Ged, Sebe ukrasił żyda.

Bilety wizytowe.

Ułożył Szczerbiec z Wawelu.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

N. ZMARŁY.

ZEN. PAKULSKI.

WARECKI.

EŚLICA.

SZAMAN ELB.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Trójkąt magiczny:

K o c h a n o w s k i J a n
O r z e c h l a s k o w y
C h r z c i e l n i c a
H e m o g l o b i n a
A r c h i p e l a g
N i k a r a g u a
O p e r a t o r
W a t a ż k a
S e k r e t
K r o w a
I g ł a
J a r
A s
N

Szarada: Pokora.

Przekładanka:

D y r e k t o r y a t
A n a k r e o n t y k
R e p r o d u k c y a
D e p a r t a m e n t
A r c h i d y a k o n
N a c z y n i ó w k a
E k s p e r y m e n t
L e ś n i c z ó w k a
E l e k t r o s k o p

Zadanie do przestawienia: Zawżdy się zbytek kończy doświadczeniem smutnem.

Grzebieniówka:

P	l	t	a	g	e	r	a	s
a		r		r		z		k
n		z		z		e		r
t		e		y		k		z
a		ś		w		o		y
r		u		a		t		p
k		i		c		k		c
a		a		z		a		e

Przysłowiówka: Jaka praca, taka płaca.

Zadanie do przestawienia: Darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby.

Przysłowiówka: Za mundurem panny sznurem.

Kwadrat magiczny:

A	r	a	k
r	a	n	a
a	n	a	m
k	a	m	a

Bilety wizytowe: Kopenhaga, Wrocław, Wieliczka, Amsterdam. Kraków.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań. S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów. T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń. R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków. K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E Winter Stanisławów, J Manorówski Stanisławów, R. Królicki Krościenko n D., Marya Ołeksiukowa Wygoda.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Ołeksiukowa, Wygoda.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Dobra szkoła.

— I cóż słychać z pańską żoną? Już bardzo dawno jej nie widziałem!

— Będzie temu ze trzy miesiące jak uciekła gdzieś szelma z piętnastym z rzędu kochankiem...

— Nie może być?!... To pan musi być bardzo na nią oburzony?

— Ależ gdzież tam! Owszem! Jej zawdzięczam całe swe wykształcenie!

— Nie rozumiem tego!

— Taż to takie proste! Dzięki trzyletniemu z nią pożyciu nabrałem takiej wprawy w śledzeniu za wiarołomstwem małżeńskiem, iż teraz jestem jednym z najbardziej poszukiwanych detektywów prywatnych w tym kierunku!

Na Rynku.

— Wiele chcesz za tego jamnika?

— Dziesięć koron, dobrodzieju!

— Co? Dziesięć koron?... Wszak słyszałem dopiero przed chwilą, jak ofiarowałeś go tamtemu panu za pięć...

— Tak... ale tamten pan nie wiedział, że to jamnik!

Nie dała się przekonać.

Pani Maciejowa udała się do przyjaciółki na poobiednią pogawędkę. Za chwilę wpada za nią sąsiadka, wołając:

— Pani Maciejowa! Chodź pani do domu, bo zaczął się dach palić nad domem!

Ale pani Maciejowa nie myśli przerywać sobie. Za chwilę nadbiega druga sąsiadka:

— Bój się pani Boga! Chodź pani prędzej! Już zapadł się dach na domu.

— Dałaby mi pani spokój — odpowiada na to Maciejowa z irytacyą — Jak może się palić u mnie w domu, kiedy ja mam klucz w kieszeni.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego